EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 8 stycznia 1933 R. | NR. 2 (15)

Jedyna droga

Uczucia i myśli miljonów

Zagadnienie ukraińskie

„Miłe" rysy wojny

Dwie cenzury

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Listy do „Epoki".

AUTORZY: WASOWSKI. GARCZYŃSKI. ROGOWICZ. WIDZ. KORNACKI. LUKREC. WILECKI.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

SYMBOLICZNY PREZENT

Ze względu na kryzys, reklamowanie prezentów gwiazdkowych odbywało się powszechnie pod znakiem taniości i praktyczności. „Kupujcie tylko to, co może się przydać w życiu codziennem!" — głosił napis nad wejściem na wystawę gwiazdkową, urządzoną w Berlinie pod nazwą „Die Front" (Front).

Ogólną uwagę na tej wystawie zwracał dział masek gazowych. Firma, która wysłała na wystawę swoje eksponaty, reklamuje je:

„Ofiarujcie swoim najbliższym maski gazowe, najwłaściwszy prezent gwiazdkowy, ostatnie słowo techniki! Prospekty gratis".

Ostatnie słowo techniki i miłości bliźniego — na wystawie gwiazdkowej!...

KOSZTOWNI DOBROCZYŃCY

W sprawozdaniu (za rok ubiegły) Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej, prowadzącego dożywianie i pomoc wszelkiego rodzaju dla bezrobotnych i ich rodzin w Warszawie, czytamy, iż Komitet z dopłat do biletów wejściowych do kinoteatrów i teatrów otrzymał wpływu 459.557,63.

Możnaby się ucieszyć, iż tyle wpłynęło drogą stosunkowo łatwą i nieobciążającą płacących (od 10 groszy wzwyż, drobne dopłaty, zależnie od ceny biletu). Ale radość zaraz gaśnie, skoro w dalszym ciągu sprawozdanie podkreśla, iż „znaczne kwoty Komitet wypłacał Związkowi Kinoteatrów, bo wynoszące 10% wpływów z tego źródła" na koszty inkasa!

Ogółem premje, wypłacone za inkaso Związkowi Kinoteatrów w Warszawie oraz innym teatrom wyniosły w ciągu roku zł. 47.823,02, co stanowi koszt około 100.000 obiadów dla bezrobotnych. Wniosek, iż Związek kinoteatrów bardzo wysoko szacuje swe usługi dla tak doniosłej instytucji społecznej. I że jakoś nie wypada zabierać biedakom aż 100.000 obiadów... Chyba na popieranie celów społecznych stać potężny Związek jeśli nie zadarmo, to za 2, 3 procent za inkaso....

CIEMNA NOC

Studenci aresztowani po ostatnich awanturach antyżydowskich we Lwowie, chcieli urządzić głodówkę. Otrzymali wówczas od arcybiskupa Teodorowicza list, zawierający te słowa współczucia, pocieszenia i błogosławieństwa:

„Kochani Panowie! Dowiaduję się właśnie, jakobyście Panowie nosili się z zamiarem urządzenia głodówki. W pełnem zrozumieniu i współczuciu z Waszem położeniem, chciałbym jednak w interesie Waszym, własnym i Młodzieży wogóle, odwieść Was od tego zamiaru, o ileby on był naprawdę przez Was podjęty. Pomijam już wzgląd arcyważny na Wasz stan zdrowia i tak bardzo nadwyrężonego przejściami dni ostatnich. Ale co najważniejsze, utrudnilibyście Panowie nam i Młodzieży współdziałającej z nami, naszą akcję skutecznie jak dotąd podjętą, którą, mamy tę nadzieję, doprowadzimy do dobrych rezultatów. Nie dajcie się Panowie Kochani zniechęcić i moralnie złamać! Wiedzcie o tem, że młodzież cała najżywiej zajmuje się Waszym losem, ustawicznie nalega na nas, byśmy się za Wami wstawiali, gdzie należy i tylko powstrzymywana przez nas, nie daje się porwać do kroków, któreby przedłużyły Wasze męczarnie, a nieobliczalne skutki wywarłyby na los tysiąca.

Dlatego raz jeszcze proszę Was na wszystko, byście w poczuciu Waszej odpowiedzialności nietylko za siebie samych, ale i za losy Młodzieży, poszli za naszą gorącą prośbą, byście się nie dali opanować przygnębieniu, choć tak usprawiedliwionemu, i byście nie weszli na drogę następstw dla Was i Młodzieży w takiej chwili, jak ta, wprost nieobliczalnych.

Modlę się o to, by Bóg Wam udzielił moralnych sił do tak ciężkich przejść, z których jednak potrzeba Wam wyjść moralnie i duchowo zwycięsko.

Błogosławię Wam i w sercu mem Was wszystkich zamykam."

KARYKATURA ZWIĄZKU ZAWODOWEGO

Zarząd Związku Artystów Scen Polskich żąda od aktorów bezrobotnych regularnego wpłacania składek członkowskich. Bezrobotni zwracają się często do Zarządu z prośbami o nieskreślanie ich z listy członków, chociaż nie płacą składek. Na jedną z takich próśb Zarząd Główny Z. A. S. P. wystosował odpowiedź treści następującej:

„Zarząd Główny Z. A. S. P. postanowił udzielić Panu prawa pracy pod warunkiem wpłacenia przez Sz. Pana 25% a conto należności".

Trzeba tu wyjaśnić, że w teatrach pracować mogą tylko członkowie Związku.

Co za styl: „postanowił udzielić Panu prawa pracy"!... I taka sytuacja: jeżeli nie wniesie części zaległych składek, to nie ma prawa pracy, a jeżeli tego prawa mu nie dadzą, to nie będzie miał na składki.

To jest związek... zawodowy!

DZIURAWA STATYSTYKA

Katolicka Agencja Prasowa informuje, że od czasu odzyskania niepodległości wybudowano w Polsce, prócz wielu kaplic, około *1,600 kościołów* — co wynosi 114 kościołów rocznie. Wybudowano je, przypuszczać należy, przeważnie ze składek ludności.

K.A.P. nie podaje jednocześnie, ile w ciągu tych 14 lat wybudowano ze składek ludności katolickiej szpitali, sanatorjów dla niezamożnych, sierocińców, ochron, żłobków, azylów dla nieuleczalnie chorych, kalek i starców, warsztatów dla zdolnych jeszcze do pracy ofiar wojny, schronisk dla ślepców wojennych i t. d. i t. d. — długa mogłaby być lista dzieł społeczno-charytatywnych, powstałych poza inicjatywą rządową i komunalną, a z natury swej leżących w programie stosowania w życiu etyki chrześcijańskiej, pojętej przez katolików rzetelnie, więc w duchu pomocy bliźniemu, bez różnicy narodowości i wyznania.

Wobec 1,600 pobudowanych kościołów byłoby powyższe zestawienie statystyczne, którego brak, nietylko interesujące, ale i... budujące.

DOBRA UCHWAŁA

Zarząd Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich powziął następującą uchwałę:

„Zarząd Syndykatu Dziennikarzy Warszawskich zwraca się do wszystkich kolegów członków, aby we wszelkiego rodzaju wystąpieniach prasowych unikali wzajemnych osobistych ataków".

Nie poraz pierwszy w dziejach Syndykatu podobny uchwalono dezyderat. Ataki i napaści osobiste nie ustają. Wpływa na to nietylko brak kultury i dobrego smaku, ale ponadto mylna spekulacja: niektórym dziennikarzom wydaje się, że czytelnika niezwykle interesują ataki osobiste, że to jest lektura szczególnie lubiana. Tymczasem napaści osobiste przejadły się czytelnikom, nie mówiąc już o tem, że wśród ludzi kulturalnych budzą zawsze obrzydzenie. Dobra uchwała Syndykatu zyskałaby na mocy, gdyby towarzyszyły jej, w razie potrzeby, sankcje karne.

GŁUPOTA NIE ZNA GRANIC

Wystarczyło, że amerykańskie Stowarzyszenie Kobiet-Patrjotek w stanie Massachusetts zwróciło się do Departamentu Stanu w Waszyngtonie z protestem przeciw dopuszczeniu prof. Einsteina do Ameryki, jako „komunisty" i „uciążliwego cudzoziemca", a Departament Stanu z całą powagą potraktował petycję histeryczek i rozesłał osobliwe „ostrzeżenie" do wszystkich swych konsulatów.

W rezultacie, gdy się Einstein zgłosił do berlińskiego konsulatu Stanów Zjednoczonych po wizę, poddany został blisko godzinnemu badaniu, które w dosadny sposób określił, jako „inkwizycyjne". Wśród powodzi absurdalnych pytań, w rodzaju: „czy umie czytać i pisać", zaskoczony został profesor zapytaniem: „czy nie jest komunistą, lub anarchistą?" Tu już Einstein stracił cierpliwość. „Na głupie pytanie nie mam odpowiedzi. Nie miałem zamiaru jechać do Ameryki. To wasi współobywatele mnie o to prosili. Jeśli mam przybyć do waszego kraju, jako „podejrzany", wolę nie jechać zupełnie". I opuścił konsulat.

Na usprawiedliwienie Amerykan dodać jednak należy, że nazajutrz Einstein zasypany został depeszami z Ameryki, przepraszającemi profesora za „niezręczność" władz konsularnych. Niebawem nadesłano mu z konsulatu wizę, pozostawiając w kwestjonarjuszu rubrykę „komunista czy anarchista?" bez odpowiedzi. Radykalna prasa amerykańska bardzo ostro zareagowała na incydent z Einsteinem, nazywając postępowanie konsulatu „dowodem urzędowej głupoty", „oślą inkwizycją" i „zamarzłym w formalizmie biurokratyzmem". Rektor uniwersytetu Columbja, dr. Butler, ogłosił, że jest „zawstydzony postępowaniem Departamentu Stanu", a na urzędowe wyjaśnienie z Waszyngtonu, iż w ten sposób postępuje się z każdym zgłoszonym protestem przeciw dopuszczeniu cudzoziemca do Ameryki, „Republican" ze Springfield ironicznie zaznacza: „Formalnie Departament Stanu jest w porządku. Wystarczy więc, aby najgłupszy zpośród nas założył protest przeciw udzielaniu wizy wjazdowej arcybiskupowi Canterbury, a konsulat nasz w Londynie zacznie zasypywać go pytaniami, czy nie jest „czerwony", czy nie zamierza obalić naszego ustroju i czy nie jest wrogo usposobiony dla naszych porządków."

Hasła wolności i sprawiedliwości społecznej znajdują w „Epoce" najgorętszą obronę

JEDYNA DROGA

Napisaliśmy na tem miejscu, że kapitalizm stwarza w dobie dzisiejszej niepomiernie więcej nędzy i niedoli, niż jej potrzebuje. Zaiste, pewien zastęp nędzarzy pośród sił najemnych był potrzebny, jako rezerwa, po którą sięgało się wówczas, kiedy chodziło o obniżenie płac. Bezrobotny, który godził się na wszelkie warunki, był wygodnem pogotowiem, ułatwiającem redukcję zarobków.

Otóż dziś owo pogotowie rozrosło się do rozmiarów dla samego kapitalizmu złowrogich. Bezrobotny, potrzebny, jako rezerwa dla walki z klasą robotniczą, stał się nieużyteczny, jako... konsument: wielkie armje bezrobotnych zubożyły rynek zbytu, zbiedniałe masy ludowe nic nie kupują, sprowadzając zastój w przemyśle i handlu.

W tej kolei rzeczy wyraziła się, między innemi, samobójcza polityka kapitalizmu. Szuka teraz dróg ratunku. I znowu pragnie obrać drogę najbardziej dla siebie niebezpieczną. Znowu wzmacnia, podnieca i rozpala potęgi sobie wrogie. Przez rozumowanie następujące: zastój zniewala do obniżenia kosztów produkcji, trzeba więc nietylko zmniejszyć płace, ale również usunąć „ciężar świadczeń społecznych", innemi słowy — przekreślić zdobycze socjalne świata pracy. Rozumowanie proste i logiczne, lecz niemasz nic bardziej fantastycznego, niż ten prosty i logiczny wywód. Pominięty tu został szczegół o wadze decydującej: czy likwidacja zdobyczy socjalnych da się uskutecznić? Czy świat pracujący da sobie je wydrzeć? Czy wola tego świata jest pozycją tak słabą, że można jej w tych kalkulacjach nie brać pod uwagę?

Trzeba być doszczętnie pozbawionym poczucia rzeczywistości, by sądzić, że na tej drodze możliwy jest nawrót do czasów, kiedy świadoma wola mas nie istniała, albo dopiero zaczynała się budzić. Dziś jest inaczej. Przybyła ważna „pozycja", dająca o sobie znać aż nadto dobitnie: wola człowieka pracującego, który się organizuje. Możecie tę pozycję nazywać „ciężarem", możecie jej złorzeczyć, ale gdy się już zrodziła, — rośnie, nabiera sił, potężnieje i... przeważa szalę.

Przeważa. Idzie ku nowemu porządkowi, nie dając się omanić przez jakiekolwiek argumenty, czerpane z nauk i pożądań ginącej przeszłości.

Kapitalizm, który doprowadził do obecnej gehenny materjalnej i moralnej, stracił wszystkie swoje argumenty ideologiczne. Nie obroni go ani policja, ani tembardziej ambona. I jeżeli w chaosie dzisiejszym widać jakąś drogę prostszą i jaśniejszą, to tę, która prowadzi do zmiany gospodarczego ustroju i ku zwycięstwu podstawowej zasady społecznej: podział dóbr, zapewniający każdemu minimum utrzymania.

Na świecie może nie być nędzy. Wszystko za tem przemawia. Nie jest to utopja. Świat dzisiejszy, w zasobach swoich, w nowych metodach produkcji i przez możność nieustannego wzmagania wydajności pracy, jest bogatszy, niż kiedykolwiek w dziejach rodzaju ludzkiego. Nędza jest tragicznym... przeżytkiem, człowiek głodny i bezdomny — to krzycząca i potworna niedorzeczność, która utrzymuje się przez nieprzystosowanie form ustrojowych do nowych zdobyczy pracy i twórczości.

Tej największej w dziejach ludzkich anomalji, tego paradoksu i absurdu nie wytrzyma logika zbiorowego życia.

Oczywiście, szali nie przeważy świadoma decyzja. Nie postanowią mężowie stanu, politycy, ekonomiści, że oto nadeszła chwila usunięcia wszystkich sztucznych hamulców w społecznej i gospodarczej maszynerji świata. Nie powezmą uchwały takiej przemysłowcy, bankierzy, kupcy i ci wszyscy, którzy do ostatniej chwili będą korzystali z warunków istniejących. Nie wyrzeknie się nikt niczego, choćby wiedział i widział, że nadchodzą zmiany nieuchronne. Nikt też nie przypisuje sobie żadnej winy, nikt nie czuje się odpowiedzialnym za to piekło na ziemi, w którem męczą się miljony. „Warunki", „splot przyczyn", „paradoksy ekonomiczne", „kryzysy" — wszystko po za wolą i odpowiedzialnością ludzi, po za wolą i odpowiedzialnością jednostek, grup, klas społecznych. W ten sposób giną wszystkie podstawy moralne życia zbiorowego. Niemasz bowiem winowajców, niemasz sprawców największego pohańbienia człowieka — w nędzy i bezrobociu. Istnieje, wzmaga się przerażające zło, a oskarżenie nie uderza w nikogo. Prostemi, brutalnemi słowami zapytuje bezrobotny: „Kto się do tego przyczynił? Którą mordę należałoby rozpłatać, aby się ta nędza skończyła? Gdzież jest ten sk......n? Ha! Niema takich. Samo się tak składa, że musisz pomału ginąć. Tak się składa, że nikt temu nie winien". (Z „Pamiętników bezrobotnych", pamiętnik N-r 57, str. 597).

I to właśnie, że źródeł i powodów zła nie znajduje się w ludziach, to wskazuje wyjście jedyne: przebudowę ustroju gospodarczego, który nie jest widmem nieuchwytnem, lecz konkretną siłą, dającą się przekształcić.

Oto jedyna w naszych czasach droga aktywnej idei przyszłości.

Józef Wasowski

UCZUCIA I MYŚLI MILJONÓW

Wielka księga protestu i buntu. Wstrząsający dokument naszych czasów. Wyraz uczuć i myśli miljonów Groźne ostrzeżenie i wyraźna zapowiedź. To „Pamiętniki bezrobotnych", wydane przez Instytut Gospodarstwa Społecznego. Kto nie pozna tej księgi, nie zda sobie sprawy z tego, co się dzieje w społeczeństwie i w jakich czasach żyjemy. W literaturze społecznej świata dzisiejszego nie ukazało się nic bardziej rewelacyjnego i nic ważniejszego, niż ten zbiór dokumentów.

Oto kilka urywków, które nie wymagają komentarzy. Tylko — czytać, myśleć i wyprowadzać wnioski, które się same nasuwają rozumowi i sumieniu.

Z pamiętnika Nr. 2 (cieśla, zamieszkały w Warszawie):

„Stojący ktoś po drugiej stronie ulicy i baczniej obserwujący to, co się dzieje(w ogonku po karty zasiłkowe), odczułby następujące wrażenie: gromada ludzi zamieniła się w jakąś dzicz, którą można porównać ze zgłodniałą czeredą psiaków, które tłoczą się do miejsca pokarmu, nie zwracają uwagi na to, że ktoś tam z rodziny zostanie zaduszony, lub umrze wskutek połamania żeber. Człowiek stąd gdzieś odszedł, pozostała bestja" (str. 23).

„W końcu doszedłem do przekonania, że to trąbienie po całym świecie, że ludzkość doszła do wysokiego poziomu kulturalnego, jest zwykłą bujdą" (str. 24).

„I tak płynęły godziny za godzinami, wchodziliśmy z kolejki do kolejki, które stały na miejscu, jak do ziemi przyrośnięte, nie ruszając się z miejsca, aż wreszcie i we mnie nastąpiła przemiana i zamiast serca i duszy zaczęła się odzywać bydlęca chciwość i tępota i teraz pchałem się wprost z zamkniętemi oczami, niczem nie różniąc się od reszty głodomorów" (str. 27).

Z pamiętnika Nr. 3 (pracownik, imający się wszelkich robót, zamieszkały w Warszawie):

„Jako człowiek głodny, myślę tylko o jedzeniu i narazie żadnych aspiracji nie mam. A jeżeli znajdzie się ktoś, co mi weźmie za złe to ciągłe myślenie o żołądku, niech w ciągu 5 dni pije rano, na obiad i na kolację tylko herbatę z maleńkim kawałkiem chleba i wówczas niech wypowie swoje zdanie o głodzie" (str. 30).

„Słabnę, coraz bardziej słabnę. Może to też nieszczęście przejściowe, jak wszystkie, które już przeżyłem... Sam staram się, sam chcę w siebie wmówić, że będzie lepiej, ale przecież chce mi się jeść! Ta jedna myśl o napełnieniu żołądka zabija we mnie wszystkie inne i to mi też sprawia cierpienie. Cierpię dlatego, że oprócz jedzenia, o niczem innem myśleć nie mogę". (str. 57).

Z pamiętnika Nr. 5 (robotnik niewykwalifikowany, zamieszkały w Warszawie):

„Jak bezpański pies tułam się i swoje młode ciało obijam o twarde łoże z ławek parkowych lub wycieram wilgotną i zimną podłogę piwnic i strychów. Gdzie jest ta ojczyzna, o której śpiewają nam piewcy i która ma być matką dla szczerze miłującego swój kraj obywatela? Czyżby na marne poszły walki bojowców-bohaterów proletarjackich i kwiatu młodzieży robotniczej? Czy szczęście i dobrobyt ma być udziałem tylko nielicznych kombinatorów?

Więc tak wyglądać ma ta ojczyzna? Bunt przenika moją istotę i czuję, że jak będę myślał o tem dłużej, to zwarjuję". (str. 76).

„Nie rozpaczam nad sobą, lecz nad temi setkami bezdomnych ludzi, starych i słabych, steranych ojców i matek lub młodych ludzi, którzy umierają za wcześnie nieszczęśliwi, nie widząc świetlanej przyszłości. Ja nie mam żadnych iluzji, lecz czasem... Marzę, że jestem w świecie przyszłości, w świecie, kiedy nowy ustrój społeczny, bardziej ludzki — odnosi tryumf, mając za hasła: Równość, Wolność i Braterstwo!... A ponad to wszystko, co człowiek przeżyje, wyrasta ból wielki, nieludzki, człowieka pokrzywdzonego i wiecznie spragnionego i targa każdą fibrą ciała, wołając głosem miljonów poniżonych i pokrzywdzonych o pomstę"... (str. 79).

Z pamiętnika Nr. 7 (brakarz, zamieszkały w Warszawie):

„Nieraz, stojąc w ogonku, zastanawiałem się nad współczesną sytuacją na świecie. Gazety np. donoszą, że jest kilkadziesiąt miljonów bezrobotnych. Tak piszą gazety, a napewno ich jest 100 miljonów na całym świecie. 100 miljonów ludzi, nie mających nic do stracenia i którzy są świadomi tego, że dlatego nie mają środków do życia, iż inni zgromadzili ich za dużo. Sądząc z tego, dzisiaj na świecie stosunki społeczne najbardziej dojrzały do wywołania wszechświatowej socjalistycznej rewolucji... Czas najwyższy, aby po całym globie ziemskim rozbrzmiał potężny zew, wzywający proletarjat do walki klasowej. Takie jest zdanie wszystkich, z wyjątkiem nielicznych, których nędza rzuciła do stóp ołtarzy, którzy będąc jeszcze pod działaniem narkozy religijnej, mniemają, iż klęska bezrobocia jest dopustem bożym i aby ją odwrócić — ścierają łbami kurz z kościelnych posadzek i liżą pokornie gipsowe posągi świętych pańskich. Ci jednak są bardzo nieliczni, gdyż trzeba być głupim, jak stołowe nogi i mieć zakuty łeb, aby dzisiaj wierzyć, że ze strony religji może nadejdzie wyzwolenie klasy robotniczej".

„Zastanawiałem się również nad sobą, jako organizmem i cząstką społeczeństwa. Robiłem jakby przekrój swojej duszy — i za pomocą introspekcji wdzierałem się do własnej świadomości, którą całkowicie wypełniało uczucie głodu, to potężne wołanie pustego żołądka.

Każde skojarzenie wyobrażeń prowadziło zawsze do tego samego, do pragnienia pokarmu. Spoglądam np. na trawnik. Przypomina mi się ruń żyta. A żyto! Z żyta robi się chleb. Chleb! I już pod wpływem tego wyobrażenia z gruczołów ślinowych wydzielać się zaczyna ślina i czułem zapach cudowny świeżo upieczonego chleba" (str. 95).

„Może popełnić samobójstwo — zastanawiałem się. Nie! Przecież może jeszcze coś uczynię na tym świecie. Może przydadzą się moje ręce i głowa do czegoś lepszego. Bo pomimo, że byłem pół umarły z głodu, nie sprzeniewierzyłem się idei człowieka, którą powziąłem niegdyś. I czekałem jakiejś zmiany, sądząc, że taki stan na świecie nie potrwa długo, że wszystko wskazuje, iż żyjemy w czasie wielkich przełomów dziejowych. Cóż, że dzisiaj zadasz sobie śmierć — mówiłem ze sobą — kiedy może jutro byłbyś potrzebny. I żyłem". (str. 97).

Z pamiętnika Nr. 8 (robotnik niewykwalifikowany, zamieszkały w Warszawie):

„Bóg jest, bo świat jest i my jesteśmy. Religji niema, bo ona jest wymysłem człowieka i to wymysłem całkiem kiepskim. W nią mogą wierzyć tylko grzeczne dzieci, a nie ludzie, których życie dotknęło ciężką swoją łapą. Religja jest za kosztowna dla nas... No, muszę koniecznie postawić już kropkę, bo za daleko się zapędzam. Chyba dobrze mi się powodzi, że pozwalam sobie na roztrząsanie takich spraw. Jeszcze mnie kto posądzi, że wszystko to powstało z przejedzenia. Lepiej dać spokój, bo nie jestem wcale przejedzony" (str. 108).

Pamiętnik Nr. 13 (inwalida zamieszkały w Warszawie):

„I pomyśleć tylko, żeby się takich czasów doczekać, musiałem przedtem wstąpić do Legjonów Polskich, internowany w Szczypiornie, trzy lata poniewierać się na froncie, być trzy razy rannym i trzy razy za waleczność odznaczony w obronie Lwowa, dostać się do niewoli ukraińskiej, by wreszcie w „Niepodległej" żyć w nędzy".

„Głupstwem i blagą jest mówić, że przeżywany kryzys gospodarczy. Owszem, przeżywany kryzys, ale ustrojowy (str. 155)".

„Przy takim ustroju nie żyjemy społecznie, więc pocóż społeczeństwo? Po to, żeby zdechnąć z głodu lub żyć w nędzy, podczas gdy inni tuczą się z nadmiaru bogactw? Do tego nie potrzeba mi społeczeństwa" (str. 157).

„Czy inni bezrobotni są tego samego zdania, nie wiem, ale wy, przypuszczam, będziecie ze mną w zgodzie. A może, czytając moje gorzkie żale, powiecie: „Pesymista cholera... malkontent, bolszewik..." (str. 158).

Z Pamiętnika Nr. 21 (robotnik włókienniczy, zamieszkały w Łodzi):

„Nie wierzę w idealistyczne rozwiązanie nędzy. Nie wierzę w kompromis, jak nie wierzy każdy świadomy robotnik" (str. 222).

„Zapewne przyjdzie moment, że dalej już cierpieć nie będę mógł. Zamienię się w zwierzę o mózgu z pewną inteligencją, w zwierzę, które będzie i mordowało i pastwiło się... aż mu głowę utną, albo — aż się samo przebudzi".

„Nędzarze nie mają nic do stracenia prócz nędzy" (str. 224).

Z pamiętnika Nr. 23 (tkacz zamieszkały w Łodzi):

„...W oddali ujrzałem parę zagonów pięknej brukwi. Nie zważając już na żadne bóle, z wielką radością, jakbym ujrzał Królestwo Niebieskie, pobiegłem do niej, nie pytając, czy ktoś pozwoli ją urwać, schwyciłem za najpiękniejszą i dalej ją zębami obierać ze skóry, gdy wtem z poza żyta odezwał się głos: Huzia dziada, Burek... Ledwiem się zdążył obejrzeć, a już moja łydka zdawała egzamin ze swej twardości w psiej paszczy. Grzmotnąłem brukwią w psa. Lekki cios rozsrożył jeszcze gorzej psa i z tem większą wściekłością wpijał kły w moje ciało.

— Człowieku! — wydarł się mi z pod serca głos, a był widać tak potężny i przejmujący, że pies zaskomlał jakby kopnięty przez widmo"... (str. 245).

Z Pamiętnika Nr. 25 (żona rytownika, zamieszkała w Kaliszu):

„Tak, to wszystko wywołuje głód i nędza. Niema nic na świecie poza pieniędzmi, zgoła nic! Nie wie-

rzę w żadne świętości, jestem obojętna na wszystko. Żyję, jak martwa, czuję, jak martwa i wszystko jest dla mnie martwe"... (str. 265).

Z Pamiętnika Nr. 28 (stolarz - modelarz, zamieszkały w Częstochowie):

„Ja młody, zaledwie 25 lat, muszę wyciągać w wolnej Polsce rękę po kawałek chleba, a zamiast takowego otrzymać gburowatą odpowiedź, do której nie jestem przyzwyczajony. Zrobiło mi się bardzo przykro". (str. 285).

Z pamiętnika Nr. 35 (mechanik, zamieszkały w Ostrołęce):

„Czytelniku! obeszłeś ze mną tyle urzędów, widziałeś tyle sprawiedliwości i niesprawiedliwości. Cóż mam teraz robić? Może pomyślisz — czekać? Człowiek, który dotąd szedł uczciwą drogą, który starał się niczem nie plamić imienia, jak ma teraz postępić?... Czuję, że nad taką bezdenną otchłanią w Polsce setki, a może i tysiące stoi ludzi". (str. 363).

Z pamiętnika Nr. 37 (robotnik niewykwalifikowany, zamieszkały w Poznaniu):

„Życie zrobiło ze mnie tchórza. Czasem mam chęć ukłonić się przed tym światem i prosić w pokorze.

„Kupcie mnie, kupcie mnie! Chcę wam służyć wierniej, niż wuj Tom. Będę kamienie dźwigał pod budowę waszych pałaców, będę wasze pola uprawiał, tylko dajcie mi żyć. Dajcie mi jedzenie, dajcie mi spanie i dajcie mi odzienie — ba! mogę nawet chodzić nago, mniejsza o to".

„A wtenczas pali mnie wstyd. Wstyd? Co to jest wstyd? Czy taki parjas, jak ja, może się i wstydem zapalić?" (str. 376).

„Gdzie cywilizacja? Gdzie kultura? Są towarzystwa ochrony zwierząt, a ochrony człowieka niema" (str. 379).

„Niechże społeczeństwo, zgodne dziś ze swem sumieniem, nie dziwi się jutro, że ludzie stają się jak zwierzęta, gotowe nawet na nie napaść" (str. 379).

ZAGADNIENIE UKRAIŃSKIE

Zagadnienie ukraińskie jest klasycznym przykładem, że zatraciliśmy ciągłość z historją Rzeczypospolitej. Najdonioślejszym aktem tej historji była Unja, a „problem mniejszości ukraińskiej" jest jej przekreśleniem.

W Rzeczypospolitej sięgającej po Dniepr, w Rzeczypospolitej od morza do morza, nie było miejsca na klasyfikację obywateli. Liczba herbów litewskich i ruskich sięga 136, a liczba ta została znacznie powiększona herbami przyjętemi przez Ruś z Polski na Zjeździe Horodelskim w r. 1413 i Unji Lubelskiej w 1569 r.

Dziś może się wydawać dziwnem używanie argumentów heraldycznych, ale nie zapominajmy, że w owych czasach, szlachta i naród to było jedno. Lud nie wchodził jeszcze w rachubę. Niema statystyki, którąby nas pouczyła jakim językiem mówiła większość ludności na ziemiach ówczesnej Rzeczypospolitej. Było to obojętne. Dniepr był równie rzeką polską jak Wisła ukraińską.

Jagiellonowie byli dynastją litewską, Wiśniowiecki był ukraińcem, jeśli mamy używać tego określenia. Warto dodać, że dopiero ojciec królewski, książę Jeremi przeszedł w r. 1631 na katolicyzm. Dubrowniccy, Holsztyńscy, Szeptyccy, Sapiehowie, Kisiele — to nazwiska „ukraińskie", zapisane na kartach historji Rzeczypospolitej. Chmielnicki podawał stary herb polski Abdank jako własny.

Wojny kozackie były ruchem socjalnym. Były protestem ludności kresowej, przywykłej do swobód, przeciw uciskowi pańszczyzny. Specjalne warunki pogranicza przyczyniły się do tego, że ruch ten przyjął szerokie rozmiary, wówczas gdy analogiczne powstanie ludności góralskiej zostało stosunkowo szybko stłumione.

Przyszły czasy upadku i niewoli. Moskwa stała się największym zaborcą ziem Rzeczypospolitej, polskich i ukraińskich. Jednocześnie kiełkowały już nowe demokratyczne ideje. Młodzież polska na uniwersytecie kijowskim redaguje „Złotą Hramotę". Rosja przeprowadza uwłaszczenie włościan na Rusi dwa lata wcześniej, niż na ziemiach b. Królestwa Kongresowego, pod wpływem ruchu polsko-ukraińskiego.

Po upadku powstania 63 r., ta sama młodzież znalazła się w Małopolsce wschodniej. W walce z Rosją widzieli sprzymierzeńca w ruchu ukraińskim. Syroczyński, Popowski, Chamiec, Kostecki, Zagórski i t. d. — byli to ukrainofile. Nie rozumieli oni ani nacjonalizmu polskiego, ani nacjonalizmu ukraińskiego. Dla nich istniała tylko jedna ideja, ideja Ojczyzny, Rzeczypospolitej, w której było dość miejsca dla szlachetnych ambicji wszystkich synów.

Przyszły potem czasy dziwne. Podczas wyborów do parlamentu austrjackiego, grupa polityków polskich zaczęła popierać odłam moskalofilów. Czyż z punktu widzenia historycznego mógł istnieć większy paradoks? Obywatele polscy pomagający szerzeniu propagandy Moskwy, aż pod Tarnowem, na Zemkowszczyźnie i Bojkowszczyźnie! Ten straszliwy paradoks uzbroił rękę Siczyńskiego do zamachu na ówczesnego namiestnika Galicji, Andrzeja Potockiego.

Czyn ten krótkowzroczna demagogja nazwała zamachem antypolskim.

Na ulice wyległa młodzież. Posypały się szyby seminarjum ukraińskiego. Z dnia na dzień potęgowała się zajadłość sporów. Koledzy z ławy szkolnej stali się nagle obcymi. Niewiadomo dlaczego. Teorję tej obcości tworzono później.

Sztukowano historję, budowano szkoły i kaplice, organizowano spółdzielnie. Wszystko pod kątem widzenia walki, nie w imię porozumienia. Rozpoczęła się orgja pochodów, wieców i artykułów. Wyrastał problem wyznania. Parcelacja majątków miała być odtąd infiltracją Mazurów na Podolu.

Było w tem wiele polityki austrjackiej i wiele polityki rosyjskiej; były naleciałości obszarniczych rozumowań. Zatarg obudził najgorsze instynkty po obu stronach. Jaskrawy nacjonalizm jest łatwiej-

szym szczeblem do karjery, niż historyczny objektywizm. Dodajmy do tego, że czynnik socjalny odgrywał w sprawie ukraińskiej zawsze rolę dominującą. Przecież inteligencja ukraińska jest bardzo młoda, a warstwa posiadająca prawie nie istnieje. Dawna przekształciła się w polską — bez jakiegokolwiek odstępstwa. W tych warunkach radykalizm poczynań był nieuchronny i jedynem przeciwstawieniem się jemu mogła być dojrzałość i spokój.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat marnotrawiono dzieło Unji. Gdy uczyłem się w szkole, wydawało się mi, że historja Polski i historja Rzeczypospolitej to jedno, że historja Ukrainy i historja Rzeczypospolitej to jedno. Takie pojęcia znalazły się na indeksie.

Plan tych poczynań był gorzki: walki o Lwów, podpalanie dworów, pacyfikacja, zamordowanie ś. p. Tadeusza Hołówki, wreszcie rozprawa lwowska.

Obojętnym jest problem indywidualnej winy, jedno nie ulega wątpliwości, że każdy z tych faktów jest słupem granicznym nienawiści. Potępiamy każdy czyn gwałtu i każdą zbrodnię, ale musi nas przerażać, że wyrastają one na podłożu idei. Z ideą nie walczy się bronią kodeksu, kodeks to automatyzm. Trzeba sięgnąć do głębi stosunku dwóch narodów w jednej Rzeczypospolitej. Wszakże siłą, potęgą Państwa jest wiara obywateli, że w jego granicach jest mu najlepiej. Czy to jest nie do osiągnięcia?

Olbrzymi odsetek szlachty polskiej — to ukraińcy. Olbrzymi odsetek ukraińców, to wychodźcy z Polski. Znałem chłopów w Kijowszczyźnie — Sumowskich, Perłowskich i Żurawskich, z pięknemi papierami rodowemi. Pas ludności mieszanej ciągnie się od Tarnowszczyzny aż po Dniepr. To było dziełem Unji. Tego, co stworzyły stulecia nie wolno nam niszczyć. Żyjemy z narodem ukraińskim w jednej ojczyźnie i musimy znaleźć drogę porozumienia i wspólnej pracy w imię wielkiej wspólnej przeszłości i przyszłości.

Tępy nacjonalizm polski czy ukraiński jest tylko parcelacją historji.

Tadeusz Garczyński

„Epoka" jest pismem dla ludzi myślących, którzy pragną pogłębić swój sąd o rzeczywistości współczesnej.

ODGŁOSY

»MIŁE« RYSY WOJNY

„Robotnik" zamieścił garść informacji z różnych krajów, ilustrujących w przejmujący sposób natężenie ducha militaryzmu w „cywilizacji" dzisiejszej.

Znamienna jest przygoda wydawcy nowojorskiego, Putnam'a.

Zamierzał on ogłosić dzieło, przedstawiające na podstawie dokumentów okropności wojny. Zwrócił się więc do amerykańskiego Departamentu Wojny z prośbą o dostarczenie mu odpowiednich materjałów fotograficznych. Najwyraźniej człowiek z mokrą głową. Prośba ta została odrzucona, przyczem gen. Irving J. Carr umotywował odmowę w sposób następujący:

„Zdjęcia, przedstawiające grozę wojny, nie mogą być oddane do dyspozycji firmy wydawniczej. Jedynie obrazy, ukazujące *miłe* (pleasant) *rysy wojny* mogłyby być przesłane. Publikacja rzeczy, przejmujących przerażeniem, byłaby *nieetyczna, nieprzyzwoita i niemądra z państwowego punktu widzenia*".

Nasuwa się dwojaka interpretacja tej odpowiedzi. Owe „miłe obrazy" sugerują myśl, że gen. Irving J. Carr, uważając, iż prośba wydawcy jest kpiną, odpłacił mu pięknem za nadobne i sam zakpił z niego. Ale motywacja odmowy przechyla wątpliwości na szalę przekonania, że amerykański generał mówi poważnie.

Traktujmy więc jego słowa poważnie, jak anabaptyści traktują słowa paktu Kelloga.

Odmowa pokazania przerażającej strony wojny jest umotywowana jasno i wyraźnie, również zgoda na pokazanie jej miłej strony jest wyraźna. Ale z tej „etycznej, przyzwoitej i mądrej" opinji przeziera nieprzyzwoita luka.

Gen. Irving J. Carr nie wyjaśnia bowiem wcale, *jakie to, jego zdaniem, rysy wojny są miłe i dla kogo.* Czy wyjazd z frontu na urlop, czy też mniejsza przyjemność, dajmy na to dostanie się z zatrutych gazem okopów do szpitala, amputacja jednej nogi zamiast obydwóch, utrata wzroku zamiast utraty życia, wylecenie od miny podziemnej w powietrze na niewielką wysokość i w licznem towarzystwie, uratowanie się w pojedynkę ze storpedowanego pancernika?... A może ma on na myśli momenty pozytywnie miłe, jak rekwizycje dobytku „nieprzyjacielskiej" ludności, palenie i plądrowanie jej wsi, gwałcenie kobiet, lub też sensacje mniej staroświeckie, bo mające w sobie coś z „wyczynów" sportowych: zrzucanie z samolotów pocisków ogniowych, bomb z iperytem, z fosgenem, z zarazkami cholery i dżumy?... Wszystko zależy od tego, co komu jest *miłe:* kąt widzenia — punkt widzenia decyduje.

Być może, gen. Irving J. Carr wogóle nie miał na myśli armji i ludności cywilnej, tylko poprostu siebie: że to miło jest podczas wojny brać wyższą niż w czasie pokoju gażę, siedzieć daleko od frontu w sztabie, pracować nad mapą i marzyć o awansach i odznaczeniach w razie pomyślnie przeprowadzonej operacji?...

To istotnie może być *pleasant*, nawet *very pleasant* dla militarysty. *That stands to reason, Mr. Carr!*

Wacław Rogowicz

DUCHY PRZESZŁOŚCI PRZECIW BEZROBOTNYM

Po nieudałym „marszu na Londyn" bezrobotni angielscy postanowili zmienić taktykę. Przygotowali obszerną petycję pod adresem parlamentu, złożyli pod petycją zgórą pół miljona podpisów i upoważnili Narodowę Akcję Bezrobotnych do przedłożenia Izbie Gmin swych postulatów. W przededniu zamierzonej demonstracji przed Westminsterem aresztowani zostali: 76-letni skarbnik Narodowej Akcji Bezrobotnych — Tom Mann i 30-letni sekretarz organizacji walijczyk Emrhys Llewellyn. Jak się to stać mogło w kraju, w którym od stuleci istnieje nienaruszalna wolność słowa, wolność zebrań i system zbiorowych petycyj?

Oskarżenie publiczne odnalazło w zmurszałych foljałach podstawę dla swych represyj. Przed 115 laty wydane było, okazuje się, prawo o „buntowniczych wiecach", przewidujące surową karę za „zwołanie w promieniu jednej mili od Westminsteru mityngu z 50-ciu nawet osób, jeśli celem tego wiecu jest rozważanie lub opracowanie petycji pod adresem parlamentu, sądu najwyższego lub króla, w sprawie zmiany istniejącego porządku rzeczy w Państwie lub Kościele". Wygrzebano duchy przeszłości z roku 1817, aby usunąć z widowni petycję bezrobotnych.

Sędziwy Tom Mann zapytał prokuratora, czy zarzuca się mu udział w „przestępstwie", które dopiero miało nastąpić? „Bo jeśli tak, oświadczył staruszek, to — przy całym mym szacunku dla prawa — nie przypuszczam, aby przez ukaranie mojej skromnej osoby, nawet karą śmierci, udało się prawu powstrzymać lawinę głodnych bezrobotnych". Prokurator przyznał, że za niepopełnione przestępstwo prawo nie karze. Chodzi raczej o... zapobieżenie przestępstwu; oskarżonym nie grozi więc ani uwięzienie, ani grzywna. Ponieważ jednak oskarżenie publiczne nie ma pewności, że przywódcy bezrobotnych powstrzymają się na przyszłość od przekroczenia ustawy z roku 1817, więc żąda złożenia kaucji po 100 funtów od osoby na zabezpieczenie „dobrego zachowania" w przeciągu 12 miesięcy.

Obaj oskarżeni odmówili złożenia kaucji ...i bez winy i kary powędrowali do więzienia.

ŻEBRAK OFIARODAWCĄ

Na ulicach Warszawy spotyka się niesamowitą w swem dziwactwie postać skrzypka.

Człowiek ten, bez względu na pogodę, gra przytulony we wnęce bramy. Gra? Koncertuje: włada smyczkiem, jak artysta, którym też jest. Repertuar jego składa się z utworów klasycznych i nowszych: Brahms, Bruch, Wieniawski, Czajkowski...

Skrzypek - żebrak nie żebrze. Na podwórza nie wkracza, wzorem innych grajków. Gra na ulicy, nie wyciągając nigdy ręki zwykłym gestem żebraczym. Hałas uliczny, ryk samochodów, dzwonki tramwajowe — nic go nie wzrusza, nie obchodzi. Gra w transie jakiegoś zamyślenia, oderwania się od rzeczywistości. Gra niekiedy cudownie. Niekiedy też, nie często, ten i ów z biegnących przechodniów przystanie na chwilę, jakgdyby melodja płynąca z pod smyczka owinęła mu się naokoło nóg, jak laska ciśnięta pewną, mocną dłonią.

A skrzypek gra, nie patrząc na nikogo, nie bacząc na nic, jakby nie z tego świata człowiek.

Ten człowiek nie prosi o nic, nie żąda ani zapłaty, ani jałmużny. On daje pełną garścią, rzuca w rozgwar ulicy, w obojętny szary tłum, dary sztuki, pociechę melodji. Kto chce — bierze. On daje.

Dziwny, arcydziwny człowiek. Artysta, który wyszedł na ulicę. Który wziął na siebie odjum żebraka, a nim nie jest.

W. P.

REFLEKSJE

DWIE CENZURY

Istnieją dwie cenzury.

Cenzura oficjalna spełnia funkcje każdemu wiadome. Ma określone metody i prowizoryczne cele. Wiadomo, jakie popełnia błędy, jak bardzo potrafi się mylić, jak niekiedy oddala się od wskazówek umiaru. Ale jest tem, czem jest i póki istnieje, musi pisarzowi przeszkadzać, krępować go i kształcić w umiejętności pisania rzeczy najważniejszych... pomiędzy wierszami. Cenzura oficjalna jest od tego, żeby w artykułach nie było zadużo kropek nad i. Przez to ćwiczy domyślność czytelnika, co możnaby uważać za dobrą stronę tej niezbyt potrzebnej instytucji, gdyby nie to, że czytelnik, wciąż się czegoś domyślając, widzi często w artykułach więcej treści utajonej, nielegalnej i zdrożnej, niż się jej tam rzeczywiście znajduje.

Cenzura oficjalna jest instytucją w dużej mierze idealistyczną: wierzy w możność konfiskowania myśli, czyli w to, że czego niema na papierze, tego też nie będzie w życiu. Nie można jednak powiedzieć, żeby ta wiara... przenosiła góry. Wiara sobie, a rzeczywistość sobie.

Lecz jakkolwiek krępująca, nieprzyjemna i niekiedy bardzo dokuczliwa, nie jest to jeszcze cenzura najsurowsza. Bo istnieje druga cenzura — gorsza, bezwzględniejsza. To — terror opinji społecznej, z którą liczy się, przed którą drży wydawca.

Wobec cenzury oficjalnej — pisarz ma tylko jeden kłopot: że o tem i o owem pisać nie można, albo że to i owo trzeba powiedzieć między wierszami. Natomiast wobec cenzury społeczeństwa — pisarz ma liczniejsze udręki. Ten, oczywiście, który wiernie i posłusznie spełnia żądania wydawcy — pośrednika pomiędzy opinją czytelników a pisarzem. Wszystko, co jest obłudą społeczną, kłamstwem konwencjonalnem, demagogją, taktyką polityczną, interesem grupy czy klasy, musi znaleźć wyraz w pracy tego niewolnika opinji. Musi ciągle czuwać, skąd wiatr wieje i co w trawie piszczy. Musi nieustannie schlebiać swojej klijenteli i gdyby pisał w organie garbatych, sławiłby garb, jako najpiękniejszą ozdobę ciała ludzkiego. Musi przeinaczać fakty, zniekształcać rzeczywistość, odpowiednio zabarwiać każdą sprawę.

Była niedawno sprawa okropna, niewymownie tragiczna, budząca różne wątpliwości i różne analogje sprawa terrorystów ukraińskich we Lwowie. W wielu gazetach podawano sprawozdania z procesu jaskrawie tendencyjne, kłamliwe, nieszlachetne. I niewątpliwie bardziej powodowano się tu względami na cenzurę społeczną, niż obawą przed cenzurą oficjalną. Ta ostatnia nie pozwala w wielu sprawach pisać całej prawdy, ale nie każe kłamać. Cenzura społeczna domaga się kłamstwa, stu, tysiąca kłamstw.

Niewiadomo, co gorsze...

Widz.

PODRÓŻOWAĆ Z ŻEROMSKIM...

Pamiętam tak, jakby to wczoraj było, — chłodny i dżdżysty ranek pierwszej rocznicy Jego śmierci. Wybrałem się na kalwiński cmentarz wespół z kolegą szkolnym, — trochę na złość księdzu prefektowi, który na lekcjach dogmatyki kościelnej obelżywie odzywał się raz - wraz o Żeromskim, zmuszając nas tem kilkakrotnie do manifestacyjnego opuszczenia klasy. Pielgrzymka nasza na grób nie miała żadnych cech wagarów, odbyła się bowiem za wiedzą rozwścieczonego tem księdza i za zgodą klasowego wychowawcy.

Pusto jeszcze było na cmentarzu, kiedyśmy przy katakumbach stanęli, w których podówczas spoczywały Zwłoki. W pierwszej chwili nie dostrzegliśmy nawet staruszki jakowejś, która przed nami tu przybyła i zdala, z ławeczki patrzała tępo na grób, — cała zgarbiona, nieruchoma, w czerni. Zasłoniliśmy jej widocznie widok żelaznych drzwi wiodących do piwnicy, a przystrojonych zawczasu wieńcami, bo krzyknęła coś do nas i pogroziła laską. Tak to zaczęła się nasza znajomość.

Wkrótce staruszka wstała i zbliżyła się wolno do grobu. Z dwojga pękatych sakwi wyjmować poczęła pakunki jakoweś owinięte w gazety. Niemym gestem poprosiła byśmy jej pomogli. Były tam fotografje Kościuszki, Prusa i wielu innych nieznanych nam twarzy, oraz świeczki, zabawki dziecinne i dziecinne naiwne rysuneczki ołówkiem i kredką, — wszystkie oprawione starannie, — za szkłem. Chociaż mocno zdziwieni, prawie niespokojni, pomagaliśmy jednak rozkładać na grobie te dziwne pamiątki, świeczki zapalać i chować zpowrotem do sakwi niepotrzebne papiery i sznurki z opakowania.

Zdumienie nasze wzrastało z chwili na chwilę, — zwłaszcza gdy staruszka opowiadać zaczęła śpiewnym szeptem, zwracając się niekiedy i do nas, przeważnie jednak na grób patrząc, na drzewa, na niebo. Zabawki stały rzędem na mogile, świeczki pełgały raz-poraz w mglistem powietrzu, a ona, zgarbiona cała, kołowała nad niemi rękoma, słowom do wtóru.

Rzecz szła o „Staśku" Wojciechowskim (niedawnym Prezydencie), o „Ziuku" Piłsudskim, o Bolesławie Prusie, o „drugiem", socjalistycznem odsłonięciu pomnika Mickiewicza w Warszawie i o nahajkach kozackich, będących podówczas w robocie, — wreszcie o Żeromskim, o Jego Zwłokach, które powinny w Nałęczowie leżeć...

W pewnej chwili pochyliłem głowę i zamknąłem oczy. Zrozumiałem nareszcie. Ta nawpół obłąkana, zdziecinniała staruszka — to przecie Joasia, pierwowzór Joasi z „Ludzi Bezdomnych", — pierwsza żona...

Głos jej brzmiał ciągle koło mnie: — „Podróżować z Żeromskim!... Ale skądże panowie wiedzieć mają, co to znaczy podróżować z Żeromskim!... Przejechać z nim pół Europy, tak jak ja!... Podróżować z Żeromskim!... Podróżować z Żeromskim!... Ooo!..."

Otworzyłem oczy. Z jedną ręką na lasce, drugą wzniesioną miała wysoko ku górze, jakgdyby chciała nam gestem pokazać ogrom jakowyś, — ogrom szczęścia?... Smutne przed chwilą, wyblakłe źrenice paliły się teraz dziwnie promiennem światłem, które sprawiało, że nawet łzy, kapiące po policzkach, błyszczały...

Nakładem „Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie", ukazały się ostatnio, przygotowane do druku przez p. Hannę Mortkowiczównę, trzy podróżnicze notatniki Żeromskiego z lat — 1902, 1906/7 i 1911, objęte wspólnym tytułem: — *„Dziennik Podróży"*. Są to po większej części na kolanie pisane uwagi i spostrzeżenia, dotyczące zarówno dzieł sztuki, oglądanych w muzeach, kościołach i pałacach włoskich, jak cudów południowej przyrody i nadmorskich krajobrazów Bretonji, — mórz i drzew.

Znajomościom zawartym w czasie tych podróży niewiele poświęca Żeromski miejsca, — parę wzmianek o Andrejewie, o Gorkiju i pani Pieszkow, krótka, lecz mistrzowsko naszkicowana charakterystyka Ellen Key, kilka innych, nic nie mówiących nazwisk, — i to wszystko. Nierównie ciekawiej przedstawia się w notatnikach echo lektury, gdyż mimo, że zarzuca Żeromski Andrejewowi, iż ten błąka się zbytnio w skałach nietzscheanizmu, to jednak wpływ świeżej lektury Nietzschego przewija się raz po raz na kartach dziennika. Z zachwytami nad morzem i grotami Capri łączą się zachwyty nad poematami Shelley'a, a słynny wiersz Michała Anioła (Come puo esser...) wtóruje chmurnym rozmyślaniom w obliczu dziko-dziewiczej przyrody bretońskiej.

„Dziennik" Żeromskiego — to najlepsze świadectwo, jakiem błogosławieństwem jest dla artysty podróż po świecie. P. Hanna Mortkowiczówna, zapewne z wielkim nakładem pracy, sporządziła index porównawczy, z którego pomocą śledzić możemy, wiersz po wierszu, zużytkowanie wrażeń podróżniczych w późniejszych utworach Żeromskiego. Przyjąć można jako pewnik, że gdyby nie owe podróże — to nie mielibyśmy wielu pięknych fragmentów „Róży", „Dziejów Grzechu", „Popiołów", — nie mielibyśmy „Pavoncella", „Sułkowskiego", a może nawet szklanych domów w „Przedwiośniu". Nie mielibyśmy także samego *„Dziennika"*, który mimo, iż na kolanie pisany i nie przeznaczony przez autora do druku, stanowi jednak, poza wartościami natury biograficznej, kopalnię piękna.

W obliczu tego dziennika jakże pusto brzmi powtarzane często twierdzenie, że tylko utwór literacki może być piękny. Jakiego blasku i jakiejż wymowy nabiera twierdzenie inne, głoszące, iż piękno książki — to piękno wewnętrzne człowieka, który ją pisał.

Gdy przewrócimy ostatnią stronę notatnika, — wszystkie poboczne szczegóły, wszystkie mniej lub więcej rewelacyjne ciekawostki dotyczące biografji autora, przesłoni nam uczucie dziwne, żeśmy *naprawdę* z Żeromskim obcowali. Uczucie to podobne jest do wspomnienia jakowychś zdarzeń z przed roku, z przed dwuch, — do rzeczy zamglonych już w przypomnieniu, ale widzianych niegdyś, widzianych na własne oczy. Urok rzucają na czytelnika podróżnicze notatki Żeromskiego. Opisy mórz i drzew działają jak widoki. Kontemplujemy piękno morskich fal, piękno traw, drzew i chmur, ale inaczej jakoś, — odświętnie. Pod urokiem wizyj Żeromskiego *potężnieje* w nas uczucie podziwu, przemienia się w poryw gwałtownej miłości do oglądanego widoku, — do ziemi, do morza, do drzew i chmur. Pogańskie piękno przyrody pijemy jakoś zaciekle, nienasycenie, serdecznie, — — podróżujemy z Żeromskim...

Jerzy Kornacki.

DENUNCJACJA

OPOWIADANIE PRAWDZIWE Z ROKU 1915

Na zewnętrznem, prawie normalnem obliczu Warszawy niczem nie odbijało się sąsiedztwo Niemców, którzy w piętnastokilometrowej odległości osaczali miasto od strony południowej i zachodniej. Wygląd ulicy warszawskiej niczem nie świadczył o zdarzeniach wagi niezwykłej, ten sam ruch pieszych i pojazdów, to samo przepełnienie w kawiarniach i restauracjach i gdyby nie liczne ambulanse Czerwonego Krzyża i otwarte wozy, wiozące rannych — trudno byłoby przypuszczać, że pod samymi murami Warszawy ważą się we krwi losy zaboru rosyjskiego i nadciągającej okupacji niemieckiej. Wielkie skupienie ludności, śpiącej spokojnie w kamienicach i normalny tryb życia, którego wzburzyć nie mogą odgłosy kanonady działowej — stwarzały swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa i spokoju, oraz pewien stan równowagi wobec rozkołysanych wielkich wypadków dziejowych. Patrząc na to niemal wesołe miasto, — odczuć i objąć można było dopiero cały kontrast życia wokół pozycji. Tam widać stopę wojny. Oblicze wsi, wciągniętej bezpośrednio w orbitę nawałnicy, która przekreśla naraz bezpieczeństwo i ład życia codziennego i wypędza ludność z terenu obstrzału na tułaczkę do lasów lub odległych wsi, gdzie nie donoszą jeszcze pociski, — posiada cechy zupełnie inne i na niem dopiero wyryte są wyraźnie piętna ruiny z jednej strony, — trwogi, rozpaczy i żałoby z drugiej.

Już po paru dniach pobytu mego w mieście rozpoczął się odwrót wojsk niemieckich z pod Warszawy i mogłem wrócić z powrotem na wieś.

Wskutek załamania się austrjackiego frontu galicyjskiego i pod naciskiem przegrupowania i koncentracji ogromnych mas rosyjskich, odwrót Niemców nastąpił nagle i odbywał się szybko.

Wślad za nimi ruszyły olbrzymią falą korpusy rosyjskie.

Rozpoczęły się w naszej okolicy kwaterunki i postoje. W podwórzach i mieszkaniach prywatnych rojno i gwarno. Zmieniały się ciągle oddziały, rodzaje broni i kancelarje sztabów.

Po przejściu burzy i przewaleniu się olbrzymich mas ludzi i koni, artylerji, samochodów i taborów — życie codzienne wraca szybko do stanu przedpaździernikowego. Huk dział słychać jeszcze wyraźnie, ale walki toczą się gdzieś daleko już za Pilicą.

Zabór też wraca w swoje prawa. Zjeżdżają się władze administracyjne, przybyła żandermerja i policja, miejscowe urzędy, gminny i pocztowy — rozpoczęły swoje czynności.

Dwie instytucje ładu i bezpieczeństwa, policja i żandarmerja zdają się być najbardziej obarczone robotą. Dokonywują niezliczonych rewizji domowych, odbierając mnóstwo zrabowanych przedmiotów. Bardziej skomplikowaną pracę ma żandarmerja, gdyż zawalona została tysiącami denuncjacji, dotyczących nieprawomyślności państwowej wielu inteligentów, obywateli ziemskich i kolonistów niemieckich. Fałszywe oskarżenia stają się plagą masową, która nie oszczędza nikogo, kto wytrwał na miejscu, podczas krótkiej okupacji niemieckiej. Wszystkie prawie denuncjacje wynikają ze źródła zemsty osobistej, lub zastarzałych porachunków.

Ale zdarzają się też denuncjacje o charakterze „ideowym", będące następstwem wojennej malarji psychicznej. Podczas trwania bitew zarazki tej choroby występowały w formie zmyślonych, wyssanych z palca twierdzeń kategorycznych o czyjejś śmierci lub kalectwie, albo o zniszczeniu, spaleniu i rozgromieniu czyjegoś mienia.

Obecnie, kiedy nawałnica wojenna oddaliła się i z rozgorączkowanej wyobraźni ustąpiły spiętrzone obrazy ruin, ognia, krwi i śmierci, — na siatce wyobrażeń umysłów nierozwiniętych powstały nowe obrazy sprzyjania wrogom i zdrady wobec prawowitej władzy państwowej rosyjskiej. Ta nowa odmiana psychozy, dostrzegająca objawy masowego wprost kunktatorstwa na szkodę „naszych" — zrodziła wolontarjuszów donosicieli, zupełnie bezinteresownych, ideowych w swoim rodzaju.

Wspólną cechą tych odmian psychozy jest zdolność widzenia rzeczy, których wcale nie było.

Mimo to żandarmi, mając nawet pewność w niektórych wypadkach, co do bezpodstawności denuncjacji — przeprowadzili długi szereg rewizji i śledztw.

Sąsiadkę moją, panią P., Kaszubkę z pochodzenia oskarżono o szpiegostwo na rzecz Niemców. Zarzucono jej, że nazajutrz po cofnięciu się wojsk rosyjskich, zgłosił się w podwórzu jakiś oficer pruski, zapytując się o nią, i pani P. wręczyła mu jakiś pakiet z dokumentami, innym oficerom zaś wskazała schody, prowadzące na strych swego domu, stojącego na znacznem wzniesieniu, skąd oficerowie ci mogli czynić obserwacje okolicy. Osoba, oskarżająca panią P. — jednocześnie denuncjowała miejscowego masarza G., niemieckiego pochodzenia, zarzucając mu, że spacerował z wojskowymi niemieckimi, udzielając im objaśnień, gdzie mieszczą się kolejowe aparaty telefoniczne i w jakim kierunku biegną przewodniki, nadto zaś postawiono mu zarzut największego kalibru, że gdy oddział żołnierzy rosyjskich zwrócił się do niego o dostarczenie mięsa — odpowiedział wyzywająco, że mięso ma tylko dla wojska niemieckiego. Rodzinę zaś jego oskarżono o stosowanie podstępnej sygnalizacji zapomocą białej flagi na szkodę armji rosyjskiej.

W związku z tą sprawą zjechał na miejsce z Warszawy pułkownik żandarmów w towarzystwie prokuratora. Zgłosili się również do mnie, jako do świadka, dla wybadania co do pani P. Pan pułkownik żandarmów zresztą sam Niemiec z pochodzenia, von Pohl, gładki, elegancki i inteligentny, był niezmiernie zdumiony, gdy oświadczyłem, że uważam p. P. i wszystkich innych oskarżonych za ludzi niewinnych i za ofiary jakiejś zarazy psychicznej, będącej bezpośrednim wytworem naszych czasów niezwykłych. Mocno zaciekawiony tem rozumowaniem, tembardziej drobiazgowo wypytywał mnie o najprzeróżniejsze szczegóły, wybadał nadto jeszcze kilkunastu świadków, którzy nic obciążającego dla oskarżonych wnieść nie mogli, mimo to pan pułkownik w asystencji prokuratora i strażników ziemskich udał się do mieszkania pani P. dla przeprowadzenia gruntownej rewizji.

Nie mając żadnych skrupułów wobec padliny duchowej, w obecności pułkownika, wziąłem się do czytania akt, pozostawionych u mnie na biurku przez nieuwagę, — i po raz pierwszy miałem sposobność zapoznania się z autentycznymi dokumentami trzeciego oddziału Jego Cesarskiej Mości. Denuncjacja, na której podstawie wszczęto dochodzenie, podpisana była przez jednego z miejscowych mieszkańców, którego znałem tylko z dobrej strony i trudno było przypuszczać, iżby człowiek, który odcierpiał katorgę za działalność rewolucyjną wśród wojska rosyjskiego — posunąć się mógł do takiego czynu, w imię jakiegoś „żandarmskiego patrjotyzmu". To mnie jeszcze mocniej upewniło w przekonaniu, że na tle zbiorowego, nerwowego napięcia powstają niezwykłe zjawiska psychiczne, nieznane zupełnie w czasach normalnych i w zależności od warunków znajdują taki lub inny wyraz.

Pułkownik von Pohl, powróciwszy po dokonaniu rewizji, oświadczył mi, że wprawdzie nic obciążającego nie wykrył, jednakże wobec powagi denuncjacji sprawa zostanie wszczęta z tytułu oskarżenia o szpiegostwo wojenne i o sprzyjanie armji niemieckiej.

W dopisku, a nawet w nagłówku akt dla obrony godziłoby się dać paradoksalne zestawienie ról protagonistów, z których jeden: rosyjski oficer żandarmów, niemiec von Pohl, oskarża Niemców rosyjskiego poddaństwa o nieprawomyślność wobec państwowości rosyjskiej; drugi zaś polski rewolucjonista w wojsku rosyjskiem występuje w obronie lojalności politycznej i jako wierny żołnierz Jego Cesarskiej Mości. Tableau!

Pan pułkownik von Pohl dotrzymał przyrzeczenia. Pani P. i trzem innym obywatelom miejscowym wytoczono sprawę o szpiegostwo wojenne.

Sprawa toczyła się w sądzie wojennym 6-ej armji przy drzwiach zamkniętych, w Warszawie, na Nowym Świecie.

Godzina 9-a rano. Zeszli się już wszyscy sędziowie wojenni.

Przyszła również obrona: adwokat Wacław Makowski, szczupły, wysoki brunet, z wyrazistą, uduchowioną twarzą, o pięknych, żywych oczach i adwokat Landy, nieco przygarbiony, z twarzą ascetyczną myślącą, jakby cierpiącą.

Ostatni przyszedł prokurator wojenny, wysoki blondyn, dobrze zbudowany, z strzyżonym krótko zarostem, w okularach.

Przywieziono z więzienia wszystkich oskarżonych. Oskarżeni posuwają się wolno, apatycznie, robią wrażenie skazańców. Cztery długie miesiące więzienia, udręczeń fizycznych i katuszy moralnych — uczyniły swoje. Trudno się dopatrzyć znanych przedtem postaci. Wychudli, zczernieli, pół widma. Krewni i świadkowie, którzy znali oskarżonych, — na ich widok uderzyli w głośne szlochania.

Rozpoczęło się śledztwo. Co pewien czas wywołują jakiegoś świadka, liczba ich topnieje w poczekalni, swojej kolei doczekać się nie mogę. Dopiero około godziny trzeciej, t. j. w pięć godzin od rozpoczęcia sprawy, wszedłem na salę jako przedostatni świadek.

W zeznaniach, znanych prokuratorowi z pierwiastkowego śledztwa, które przeprowadził p. von Pohl, zbijałem zarzuty oskarżenia i twierdziłem kategorycznie, że rzekome zbrodnie w wskazanych miejscach popełnione być nie mogły, całe zaś oskarżenie jest wytworem albo chorej wyobraźni, albo osobistej zemsty. Po wejściu na salę rozpraw, odrazu też dostałem się w ogień krzyżowych pytań prokuratora, sędziów i obrońców.

Do dwóch pytań oskarżyciel przywiązywał największą wagę: a) czy możliwe jest, ażeby oficer niemiecki, będąc po raz pierwszy w tem podwórzu, bez pomocy z czyjeś strony odnalazł szybko drogę na dach, skąd czynił obserwacje, b) czy oficer, wjechawszy w podwórze odebrał z konia pakiet z dokumentami z rąk oskarżonej p. P. Co do pierwszego pytania, mogę kategorycznie oświadczyć, że oficer, człowiek prawdopdobnie rozgarnięty, mógł z łatwością sam znaleźć drogę na strych, tembardziej, że schody umieszczone były nazewnątrz w podworzu, jakby stromo postawiona drabina i nie ulegało wątpliwości, że prowadzą one do góry na dach, nie zaś wdół do piwnic.

Co zaś się tyczy pytania drugiego, — również stanowczo oświadczyć muszę, że gdyby tego dnia o godzinie 4-ej pp. wjechał w podwórze oficer niemiecki po odbiór dokumentów z rąk pani P. — wiedziałbym o tem niezwłocznie, gdyż właśnie w te dnie niezwykłe czuwał przy furtce człowiek umyślny, ażeby nikt nie był zaskoczony przez jakieś przykre niespodzianki. Nadto człowiek ten był wyraźnie uprzedzony, iż musi bezzwłocznie zawiadomić mnie o każdem przybyciu wojskowych, zamierzałem bowiem w każdym wypadku porozumiewać się z nimi osobiście dla uniknięcia wskutek nieznajomości języka różnych z ludźmi scysji, które w podobnych warunkach są zawsze niepożądane i często niebezpieczne.

Po złożeniu zeznań przeze mnie, prokurator dodatkowo zbadał delatora, który ciągle w kółko powtarzał swoje oskarżenie, dopóki obrona nie wzięła go w ogień pytań na podstawie moich wyjaśnień.

Tutaj dopiero, wobec ponownego oświadczenia mego, że ów oficer niemiecki tego dnia w podwórzu nie był i nikt go widzieć nie mógł, i rzeczywiście nie widział, — denuncjant zmienił naraz front, oświadczając, iż działo się to nie w podwórzu, lecz na stacyjce kolejowej. Był to niewątpliwie początek krachu oskarżenia i wyraźny tryumf obrony. Ten niespodziewany zwrot w samym końcu śledztwa i w punkcie najgroźniejszym dla oskarżonej, najuporczywiej zaś bronionym przez prokuratora i denuncjanta, — w wątpliwość stawiał wiarogodność całego oskarżenia, dostarczając następnie argumentacji dla świetnych ataków obrony.

Mowa prokuratora, zbudowana na kruchych podstawach, ale wypowiedziana płynnie, pięknym językiem i z przejęciem, — wywarła wrażenie na audytorjum, zmieniając wyraźnie nastrój w sali na niekorzyść oskarżonych.

Po mowie prokuratora, pierwszy przemawiał adwokat Makowski. Dotychczas obrona toczyła tylko dorywczą, podjazdową walkę z prokuratorem, obecnie zaś stawało się jasne, że przechodzi na całym froncie do ataku, który ma rozstrzygnąć całą sprawę. Od stopnia talentów, siły wymowy i logiki, o ile nb. wyrok przedtem już zapadł, — zawisło życie lub śmierć oskarżonych. Mowy obrońców wypowiedziane były w sposób niezwykle zwarty, jasny, rzeczowy, każde niemal słowo ich podważało stopniowo i po kolei wszystkie podstawy sprawy i odsłaniało jej sztuczną budowę wśród nawarstwień kłamstw i absurdów.

W konstrukcji ich przemówień widać było piękne połączenie zimnej, nieubłaganej logiki z żarem

natchnienia i uczucia, wspomaganego głosem oburzonego i obrażonego sumienia.

Każda następna godzina rozpraw uwidoczniała obecnym, jak wątłą łodygą w tej sali jest życie ludzkie i jak jedno słowo wyroku łatwo zdmuchnąć je może, niby ogarek świecy.

Adw. Makowski ośmieszył punkt oskarżenia, według którego masarz G. oprowadzał wojskowych niemieckich, udzielając im wyjaśnień co do kierunku przewodników telefonicznych i pokazując im pomieszczenia kolejowych urządzeń telefonicznych, łączących tę stacyjkę z Warszawą — „z tą Warszawą, jak wołał prokurator, skąd Niemcom groziło niebezpieczeństwo, skąd padały śmiercionośne pociski armatnie". „Można mieć różne pojęcia o Niemcach — wołał donośnie adw. Makowski — w jedno tylko nie uwierzę, iż są głupcami. Widząc przewodniki telefoniczne, łatwo się sami domyśleć mogli, bez pomocy rzeźnika, w jakim biegną kierunku i jakie dla nich mają znaczenie.

„Jeżeli zaś, jak twierdzi pan prokurator wojenny, przewodniki te stanowiły dla Niemców tak wielkie niebezpieczeństwo, to dlaczego zostały zniszczone znacznie później?!"

Ironiczną uwagą podważył adw. Makowski inny znów punkt oskarżenia, według którego ten sam masarz G. miał odpowiedzieć żołnierzom rosyjskim po odpędzeniu Niemców, że „dla was mięsa nie mam, mam tylko dla żołnierzy niemieckich". „Pan prokurator wystawia temu prostemu człowiekowi nadzwyczajne świadectwo, wznosząc go na wyżyny bohaterstwa. Proszę wyobrazić sobie, panowie sędziowie, tego podsądnego, który miał odwagę wobec oddziału uzbrojonych, zwycięskich żołnierzy oświadczyć kategorycznie: dla was nie mam mięsa, mam tylko dla Niemców"!

Pan prokurator, wołał znów adw. Landy, uważa panią P. za osobę inteligentną, a zatem, czy można sobie wyobrazić szpiega inteligentnego, któryby w biały dzień, na środku podwórza wręczał pakiet z dokumentami oficerowi niemieckiemu, mając na to wiele innych sposobów i wybór odpowiedniejszych okoliczności!"

„Wszystko mogę zrozumieć, grzmiał adw. Makowski, nie rozumiem tylko, jak zwyczajne plotki, które można sobie powtarzać na stacyjce kolejowej stać się mogą podstawą oskarżenia według paragrafu, przewidującego karę śmierci. To są drwiny z sądu i sprawiedliwości!"

Po świetnych mowach obrońców, prokurator raz jeszcze zabrał głos, popierając oskarżenie. Ale przemówienie jego nie miało już poprzedniej mocy przekonywującej. Obrona widocznie zwyciężyła, oświetliwszy niepoważny i plotkarski charakter oskarżenia.

„Panowie sędziowie, zakończył prokurator, jeżeli podzielicie mój punkt widzenia, co do zbrodni — osądźcie podsądnych na karę śmierci, jeżeli zaś uznacie założenia obrony za słuszniejsze, — uniewinnicie wszystkich oskarżonych". To oświadczenie było już warunkowe, wyczuć w niem już można było pewne wahanie, nieugiętość więc oficjalnego stanowiska prokuratora załamała się.

O godzinie ósmej wieczór sędziowie udali się na naradę. Rozpoczęły się długie godziny oczekiwania. Podsądni, wyczerpani doszczętnie jedenastogodzinnem trwaniem rozprawy sądowej — byli bliscy omdlenia.

Narady sądu wciąż trwały i zdawało się, że przewlekają się w nieskończoność. Jakiś tłumacz wojskowy nadstawiał ciągle ucha pod drzwiami pokoju narad, starając się podchwycić chociaż oderwane słowa. Raz po raz przybiegał do mnie, komunikując tajemniczo, że rzeczy stoją nieźle, to znów, iż dla trzech oskarżonych niema ratunku, jedna osoba będzie jednak uniewinniona. W pokoju sędziów temperatura widocznie rosła, zaczęły dochodzić nawet do poczekalni oddzielne wyrazy gorących sporów. Walczą między sobą! Wybiła godzina dziewiąta, później dziesiąta i jedenasta wreszcie. O godzinie w pół do dwunastej otworzyły się drzwi pokoju narad. Wchodzą wszyscy dla wysłuchania wyroku. Wszyscy wymęczeni, wszyscy prawie wyglądają, jak skazańcy, nawet sędziowie. Wyrok — uniewinniający.

Henryk Lukrec

ROK 1932 W GOSPODARSTWIE ŚWIATOWEM

Po ciężkim kryzysie rynku towarowego, cechującym rok 1930 i ogólnem załamaniu się wszystkich dziedzin gospodarki w roku 1931, weszliśmy w czwarty rok przewlekłego kryzysu światowego. Pod względem siły napięcia trwające już przeszło trzy lata przesilenie gospodarcze niema sobie równego w historji, jeżeli się bierze pod uwagę cały świat, a nie gospodarstwa poszczególnych obszarów, które sporadycznie przeżywały może kryzysy cięższe. Pod względem strukturalnym przesilenie to przypomina najbardziej długotrwały kryzys — który dotknął Europę, w okresie mniej więcej od 1870 do 1880 roku. Tak dzisiaj jak i wtedy na pierwszy plan wysunęło się zjawisko nadprodukcji w przemyśle i rolnictwie, gwałtownego kurczenia się konsumpcji, oraz silnej zniżki cen produktów rolnych i wytworów przemysłowych.

Rok 1931 pozostawił w spadku zupełną dezorganizację w dziedzinie finansowej, kredytowej i walutowej, a więc kryzys bankowości, olbrzymi wzrost deficytów budżetowych, a nawet niewypłacalność niektórych państw, oraz deprecjację szeregu walut, a w związku z tem ogólny kryzys zaufania, który doprowadził do zaniku międzynarodowej działalności kredytowej. Jednem z najgroźniejszych następstw zawalenia się budynku kredytowego, było załamanie się podstaw międzynarodowej wymiany towarowej. Poszczególne kraje otoczyły się barjerami celnemi, broniącemi dostępu cudzemu importowi, wprowadziły kontyngenty przywozowe, a wreszcie ograniczenia dewizowo-walutowe, które obejmują kilkanaście państw europejskich i kilka krajów zamorskich. Równocześnie szereg państw spotęgował dumping eksportowy. Przodowały w tym wypadku, rzecz oczywista, kraje o zdeprecjonowanej walucie, mające możność skuteczniejszej konkurencji.

Wojna gospodarcza wszystkich przeciw wszystkim, zapoczątkowana jeszcze w roku 1930 przez Niemcy, a spotęgowana odejściem Anglji od parytetu złota i wprowadzeniem przez nią wysokich ceł im-

portowych (co wywołało natychmiastową reakcję innych państw) — zaogniła się jeszcze bardziej w roku 1932, powodując niebywały chaos w międzynarodowych stosunkach handlowych.

Większość państw przeszła do polityki protekcjonistycznej i coraz bardziej zaczęły się zarysowywać tendencje w kierunku samowystarczalności. Stawki celne rosły z tygodnia na tydzień, a wraz ze zmianą taryf celnych i kontyngentowaniem przywozu zyskiwała sobie coraz bardziej prawo obywatelstwa najprymitywniejsza forma wymiany — handel kompensacyjny.

Utrudnienia przywozowe stosowane przez poszczególne kraje, czy to w dziedzinie reglamentacyjno-celnej, czy też ograniczeń w przydziale dewiz zmuszały przemysł do ograniczenia produkcji, a w konsekwencji wywoływały wzrost bezrobocia, zwłaszcza, że równocześnie kurczyła się coraz bardziej konsumpcja wewnętrzna. Dlatego też światowa produkcja przemysłowa spadła w roku 1932 w stosunku do roku 1929 o blisko 60%, liczba bezrobotnych na świecie osiągnęła zawrotną cyfrę 35 miljonów, ceny towarów spadły do najniższego poziomu, jaki kiedykolwiek był notowany, a liczba upadłości zwiększyła się w stosunku do roku 1931 o 6,9%, w porównaniu zaś z rokiem 1929 aż o 43.4%.

W orbitę przesilenia na przestrzeni ubiegłego roku wciągnięte zostały wszystkie kraje, nawet najbardziej gospodarczo silne, które w latach poprzednich oparły się jeszcze fali depresji. Dotyczy to przedewszystkiem Francji, która mimo nagromadzenia olbrzymich ilości złota walczy z ciężkim kryzysem gospodarczym i nie może się uporać z wielomiljardowym deficytem budżetowym.

Na jednym tylko, bardzo ważnym, odcinku życia gospodarczego — na rynku pieniężnym — nastąpiła w roku ubiegłym poprawa. Wyszła ona ze Stanów Zjednoczonych, które, posiadając niewyczerpane rezerwy, zapoczątkowały nowy kurs gospodarczy, polegający na wzmożonej ekspansji kredytowej, opartej w dużej mierze o rozszerzone podstawy emisyjne systemu banków federalnych. Wywołało to dużą płynność na rynku amerykańskim, a wkrótce także na wielkich rynkach europejskich i potanienie pieniądza na świecie. Banki emisyjne jakoteż rynek prywatny redukuje kilkakrotnie oprocentowanie kredytów i wkładów i w końcu września stawki procentowe obniżają się do poziomu, nienotowanego od szeregu lat.

Doraźne stworzenie ratunkowych zasobów kredytowych miało jeszcze dalsze pomyślne następstwa. Przyczyniło się ono bowiem do ożywienia obrotów na giełdach amerykańskich i do poprawy kursów papierów amerykańskich, a równocześnie doprowadziło do zwyżki cen zbóż i surowców, a nawet niektórych półproduktów i wyrobów gotowych. Haussa na giełdach pieniężnych i towarowych, która rozpoczęła się w pierwszych dniach sierpnia, była sztucznie podtrzymywana przez spekulację, dyskontującą w pierwszym rzędzie wyniki konferencji w Lozannie, a z drugiej strony była prawdopodobnie zainscenizowana dla stworzenia lepszych szans dla Hoovera w zbliżających się wyborach. Haussa ta, oparta na kruchych podstawach, w końcu września załamała się, zdoławszy jednak przedtem zastrzyknąć sporą dozę optymizmu w wyczerpany długotrwałym kryzysem organizm gospodarczy. Załamanie się ruchu zwyżkowego nie oznacza końca działania czynników dodatnich, tem bardziej, że poziom cen i walorów giełdowych mimo ostatniej zniżki jest wyższy aniżeli przed okresem haussy. Ponadto zwyżka cen spowodowała zakupy spekulacyjne i uzupełnianie zapasów, co przyczyniło się przynajmniej przejściowo do wzrostu produkcji po długim okresie stałego jej spadku.

Duża płynność na rynkach umożliwiła Anglji i Francji przeprowadzenie największych konwersji zobowiązań, jakie zna historja finansów publicznych. Olbrzymia operacja angielska objęła wewnętrzny dług wojenny w sumie 2.087 milj. funtów. Przez konwersję pięcioprocentowej pożyczki na trzy i pół procentową, skarb angielski zaoszczędza blisko 30 milj. funtów rocznie. Analogiczną oprację przeprowadziła Francja, dokonywując pomyślnie konwersji swoich rent na ogólną sumę przeszło 85 miljardów franków i uzyskując w swym budżecie państwowym oszczędność w wysokości blisko półtora miljarda franków.

Ostatni okres roku ubiegłego przyniósł zaciemnienie sytuacji i perspektyw na poprawę konjunktury, zjawił się bowiem na widowni problem długów międzynarodowych — a w szczególności konieczność zapłacenia Ameryce przypadającej 15 grudnia raty tych długów. Konflikt w sprawie długów wojennych i silna zniżka funta, mająca do pewnego stopnia związek z płatnością raty grudniowej, wywołały baissę na rynku zboża, cukru, bawełny, kauczuku, metali i innych surowców. Obecnie rynki surowców przemysłowych i cukru na skutek zwyżki funta wykazują poprawę notowań i jedynie tylko na giełdach zbożowych utrzymuje się tendencja zniżkowa.

Długotrwałe pertraktacje o odroczenie spłaty długów, nie dały pozytywnych rezultatów, natrafiły bowiem na zdecydowany opór Kongresu i amerykańskiej opinji publicznej, żądającej od Europy bezwzględnego dotrzymania terminu. Ostatecznie termin nadszedł i uwydatnił w całej pełni brak solidarności i zrozumienia wspólności interesów wśród dłużników. Ratę grudniową uregulowała Anglja, która mając do płacenia bardzo poważną kwotę 95.550.000 dolarów, długo się broniła, a dalej zapłaciły ją Włochy (1,2 milj. dol.), Czechosłowacja (1 i pół. milj.), Finlandja (186 tys.), Łotwa (149 tys.) i Litwa (92 tys. dol.). „Solidni" i „punktualni" płatnicy kierowali się w tym wypadku najróżniejszemi względami — prestiżowemi, politycznemi lub też chęcią utrzymania dobrych stosunków i wysokich obrotów handlowych z Ameryką. Sześć państw: Francja, Polska, Belgja, Węgry, Grecja i Estonja raty nie zapłaciły, motywując odpowiednio swoje stanowisko. W każdym bądź razie zarówno punktualni wierzyciele, jak też i niepunktualni żądają daleko idącej rewizji długów wojennych. Sprawą tą zajmą się za-

---

„Epoka" wyrzeka się jakichkolwiek trywialnych sensacyj dziennikarskich.

---

pewne dopiero przyszłe światowe konferencje gospodarcze i nowy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Reasumując, stwierdzić musimy, że pomimo upłynnienia rynku pieniężnego i lekkiego wzrostu cen podstawowych surowców, sytuacja gospodarcza w roku 1932 faktycznej poprawy nie osiągnęła. Rok ubiegły przyniósł wzrost znaczenia na terenie międzynarodowym jedynie Anglji i Niemcom, a faktyczne korzyści tylko tym ostatnim. Niemcy, żądając stale rewizji traktatów i strasząc świat widmem „krwawych" rządów Hitlera, rewolucją wewnętrzną i wojną — po otrzymaniu moratorjum Hoovera, zdołały uzyskać redukcję długów reparacyjnych z kilkudziesięciu miljardów na 3 miljardy marek, rozłożonych do tego jeszcze na szereg lat, a u schyłku roku przyznano im równouprawnienie zbrojeń. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy nie zapłacą nawet tej drobnej w porównaniu z dawnemi długami kwoty i będą także wykręcały się od płacenia prywatnych długów zagranicznych. Widać to już jasno z oświadczenia Huggenberga, mającego obecnie duży wpływ na politykę rządu Schleichera. Stwierdził on ostatnio, że Niemcy nie są w możności płacenia prywatnych długów zagranicznych wraz z ustalonemi dotąd procentami. Rewizja wysokości tych procentów — oświadczył Huggenberg — i wstrzymanie na dłuższy okres spłaty rat długów, wynoszących łącznie około 21 miljardów marek, jest koniecznością, o ile wierzyciele z Ameryką na czele mają wogóle otrzymać kiedyś ulokowane w Rzeszy pieniądze.

Redukcja długów i uzyskanie równouprawnienia zbrojeń, obok całego szeregu innych ustępstw na rzecz Niemiec, są dużym sukcesem rządów Brüninga, Papena i Schleichera. Stwarzają one dla Rzeszy szerokie horyzonty i pozwalają zająć się rządowi intensywniej uregulowaniem sytuacji wewnętrznej. Obecnem hasłem Niemiec jest ożywienie życia gospodarczego, a pierwszym i zasadniczym krokiem w tym kierunku uchwała rządu Rzeszy w sprawie wyasygnowania 500 miljonów marek na podjęcie natychmiastowych robót publicznych, mających przeciwdziałać bezrobociu.

Rok 1933 nie rozpoczyna się pod dobremi auspicjami. Przejmuje on od swego poprzednika nieuregulowany problem długów wojennych i prywatnych, zupełną dezorganizację handlu międzynarodowego, której nie mogły zapobiec ani liczne konferencje światowe (Lozanna, Stresa, Ottawa) ani też najrozmaitsze układy i umowy między poszczególnemi państwami, przejmuje opłakaną sytuację rolnictwa, przemysłu i handlu, a nadewszystko klęskę bezrobocia.

Alfred Wilecki.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Koniec starego roku i początek nowego wywołują zawsze na łamach prasy zestawienia i uogólnienia. Myśl ludzka korzysta z utworzonej przez nią samą przedziałki czasu, aby snuć wnioski na przyszłość, ujmując w pewną całość przeszłość.

Nie będziemy powtarzać tych uogólnień, które z przerażeniem stwierdzają ponure cyfry rozkładu i rozstroju gospodarki światowej i wzrost bezrobocia, spadek wytwórczości, zanik handlu. Nad cyframi, stanowiącemi prawdziwe memento mori dla istniejącego ustroju społecznego, biedzą się ekonomiści i socjolodzy.

Inni zagłębili się w zestawieniu doświadczeń politycznych roku ubiegłego. Z tych zestawień na pierwsze miejsce wysuwają się, jak zawsze przemyślane, spokojne, pełne praktyki życiowej, a jednocześnie troski o przyszłość, słowa prezydenta Republiki Czechosłowackiej, profesora Masaryka.

W rozmowie z przedstawicielem lewicowej gazety wiedeńskiej „Der Wiener Tag." prezydent Czechosłowacji dał przedewszystkiem wyraz swojemu niezłomnemu przekonaniu, że „nic go nie może zachwiać w jego wierze w demokrację".

Mówi się o kryzysie demokracji. Polega on — zdaniem prezydenta — na tem, że dzieło demokracji nie jest zakończone.

— Demokracja zwycięży — mówi z całą powagą sędziwy prezydent — pomimo różnych reakcji dyktatur z prawicy i z lewicy, które mogą budzić względem niej pesymizm. Demokracja realizuje się etapami, i to sprawia czasem wrażenie, że nie idzie naprzód, tylko cofa się. Demokracja idzie.

Kto tego nie rozumie, ten zapomina o niedawnych lekcjach historji, kiedy rozleciały się jak domki z kart trzy potęgi monarchji teokratycznej: Rosja, Niemcy i Austro-Węgry. Jakkolwiek tłomaczyć sobie to zjawisko, zawsze — mówi prezydent Masaryk — dojdzie się do wniosku, że legły one w walce z ideą demokracji.

Również i w obronie parlamentaryzmu podnosi głos prezydent Masaryk, mówiąc, że choć parlamentaryzmowi potrzeba tych lub innych reform, ale jest nieodzowny, będzie istniał i istnieć musi. Za najlepszy tego dowód uważa prezydent to, że „państwa które promują dyktaturę, nie mogą się obejść bez parlamentaryzmu".

Swoją apologję demokracji kończy prezydent Masaryk następującem pięknem oświadczeniem:

— Żyć demokratycznie nie tylko w parlamencie, nie tylko w ciałach z wyboru ludności, wprowadzać ducha demokracji do społeczeństwa, do rodziny, do wszelkich poczynań, jednem słowem, wypełniać życie siłą moralną demokracji — oto droga, która wiedzie do urzeczywistnienia ideałów demokracji."

A w innym zakątku świata, w Niemczech, gdzie od 1918 r. wre bój prawdziwy o ideały i zasady demokracji wtórują prezydentowi Czechosłowacji głosy wypróbowanych pacyfistów i przyjaciół wolności.

Otto Lehmann Russbüldt, zastanawiając się na łamach „General-Anzeiger für Dortmund" nad tem, co przyniesie 1933 rok „demokrację, czy dyktaturę", pisze tak:

„Zupełnie napewno można powiedzieć, że wojna o wyzwolenie ducha przeciw wzrastającej na sile reakcji tylko wówczas da pomyślny wynik, jeżeli za cel praktyczny walki uzna zniweczenie militaryzmu światowego, który właśnie gotuje się do nowego zamachu na ludzkość".

Demokracji niemieckiej zarzuca p. Russbüldt brak energji i mówi, że to właśnie sprowadziło na Niemcy — Hitlera.

Hellmut von Gerlach widzi jednak już w 1932 r. w Niemczech załamanie się faszyzmu i słusznie wskazuje, że dla obalenia von Papena hitleryzm, który negował parlamentaryzm musiał przejść na odrzucane przedtem stanowisko.

Ani Göring, ani Hindenburg, ani Schleicher nie są stronnikami parlamentaryzmu, uważają go nawet za zło, ale muszą się na to „zło" godzić.

Duchowe ozdrowienie przychodzi stopniowo — mówi von Gerlach. Można bowiem bez szkody dla zdrowia zmieniać różne pasty do zębów, ale w ustroju państwowym naród ma do wyboru jedno z dwojga: parlamentaryzm to jest rządzenie sobą, albo dyktatura — to jest wyzucie się z wszelkich praw.

Nad zagadnieniem demokracji i parlamentaryzmu, ale bez ich negowania, bez prób zastąpienia ich pozorami i fałszem, zastanawiają się nowe siły, które stopniowo biorą w ręce władzę we Francji.

Młody i nowy podsekretarz stanu na Quai d'Orsay, p. Pierre Cot poświęcił tej kwestji artykuł na łamach czasopisma, którego sam tytuł przypomina o dziejach wielkiej Rewolucji Francuskiej — „Les Cahiers de la Révolution".

Cahiers nazywały się w 1789 r. księgi lub memorjały życzeń ludności, która wybierała deputowanych do wielkiej konstytuanty; każdy z wybranych wiózł ze sobą do Paryża taki „cahier de doléances", które zamieniły się później w „kajety rewolucji".

I oto więc w takim symbolicznym kajecie p. Pierre Cot wywodzi, że coś trzeba zmienić w metodzie prac parlamentu. Powstał on i działał w czasach, gdy inne były potrzeby, nie miał tyle do czy-

nienia ze sprawami gospodarczemi, nie było takiego pośpiechu życia, jak teraz.

— Liberalizm ekonomiczny — pisze p. Cot — umarł. Kapitalizm go zamordował. Niema dziś przemysłowca, kupca, jakiegokolwiek wytwórcy, który by ośmielił się żądać od swego deputowanego, żeby się nim nie zajmował. Przeciwnie, każdy domaga się ustawodawstwa na swoją korzyść, pomocy w drodze legalnej. Przemysł francuski produkuje dziś dziesięciokrotnie tyle co przed 50 laty, rolnictwo — także, sądy wyrokują dziesięć razy więcej i t. d. i t. d. Więc i parlament musi odpowiedzieć nowym zadaniom."

*

Rozwijający się zatarg Italji z Jugosławją o zajścia na wybrzeżu Dalmacji pozwala obserwować, jak gromadzi się kłamstwo w stosunkach międzynarodowych, kłamstwo niebezpieczne, stanowiące pożywkę dla nienawiści i wiodące do wojny.

Gdy głupi i szowinistyczni awanturnicy poniszczyli piękne weneckie lwy świętego Marka, w Trogirze faszyzm włoski do pełnego dumy i godności protestu w obronie wartości kultury, sztuki i pamiątek historji, do zgodnych z prawdą stwierdzeń, iż Chorwaci nigdy takich barbarzyństw nie pochwalali, zdołał dołożyć parę łyżek kłamstwa i insynuacji.

A więc przedewszystkiem, że winowajcami tych brutalnych czynów są Francuzi, którzy rzekomo mieli podżegać Jugosławję, a następnie, że Serbowie uczynili to na złość ludności Dalmacji, która pragnie... należeć do Włoch.

Wystarczyłyby piękne słowa Mussolini'ego o tem, że „niszcząc kamienie nie przekreśla się historji" i parę świetnych ilustracji, obrazujących zniszczone arcydzieła sztuki, a tymczasem po prasie włoskiej rozlała się fala hecy nie tylko antyserbskiej, ale i antyfrancuskiej, a nawet więcej—przeciw „żywiołom europejskim", które zwalczają faszyzm.

Te struny nienawiści i kłamstwa, raz poruszone, dały natychmiast oddźwięk z dwu stron. Minister spraw zagranicznych Jugosławji p. Jeftier do swojej znowu pełnej godności odpowiedzi zdołał wsadzić aluzję, że dzieło zniszczenia w Trogirze zostało dokonane ręką prowokatorów włoskich. W ten sam ton uderzył p. Pertinax w „L'Echo de Paris" w Paryżu, i oto już mamy rozpętaną burzę w prasie trzech państw, burzę, niecącą waśń i nienawiść.

Mussolini twierdzi, że Włoch Lusino został zamordowany przez Serbów. Jugosłowiański minister oświadcza, że Lusino umarł od uderzenia w meczu piłki nożnej ze swojemi przyjaciółmi Włochami.

W trakcie tych „pięknych" rozmów zjawiają się w Trogirze autentyczni winowajcy zniszczenia, jacyś dwaj rzemieślnicy i twierdzą, że działali z pobudek patrjotycznych, chcąc usunąć ślady panowania włoskiego.

Oto ile w ciągu 2 tygodni nagromadzono oskarżeń, inwektyw, podejrzeń!

Tak zachowują się rządy państw, w których opinja publiczna nie wiele ma do mówienia, bo we Francji, to trzeba stwierdzić, głos piszącego p. Pertinaxa został odosobniony i z podniecających aluzji p. Mussolini'ego nikt odpowiedzialny nie wysunął żadnych drażniących wniosków.

*

W dniu 26 grudnia r. b. minęło 13 lat od chwili, gdy Rada Komisarzy Ludowych Sowietów ogłosiła dekret o walce z analfabetyzmem. O wynikach tej walki donosi „Wieczerniaja Moskwa"; coprawda podając cyfry tylko dotyczące rdzennej Rosji Europejskiej t. j. R. S. F. S. R. (bez Ukrainy, Białorusi, Kaukazu).

W1919 r. było na terenie tej części organizmu Sowietów zaledwie 30% umiejących czytać i pisać. W 1932 r. na tymże terenie jest analfabetów zupełnych tylko — 10%, w cyfrach oznacza to jeszcze 4.500.000 ludzi nie znających liter.

Według zapowiedzi cytowanej gazety te 4½ miljona ma otrzymać w 1933 światło nauki czytania i pisania.

Oczywiście na innych terenach, o których gazeta nie pisze, wyniki nie są tak wymowne.

St. Gr.

LISTY DO „EPOKI"

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Sądziłem doniedawna, iż jestem idealnym czytelnikiem „Epoki", — poprzez wszystkie jej numery nie było artykułu, — ani pod względem treści, ani formy, któryby mi do przekonania nie trafił i nie nauczył czegoś; — mimo, iż jestem starym już człowiekiem, jednak po dawnemu twierdzę, iż najlepszą rzeczą, jaka tylko może być — jest dowiedzenie się o czemś, o czem jeszcze się ani - ani nie wiedziało.

Pierwszym artykułem, jaki mi się we wspaniałem piśmie Pana nie podobał, — była w N-rze 11 recenzja książki inż. E. Landsberga: — „Uwagi w sprawie kryzysu gospodarczego w Polsce". Autor recenzji, p. J. Szpecht nazwał swą recenzję „Donkiszoterją Reakcji". Sądzę, iż w tytule tkwi nieporozumienie, donkiszoterją bowiem zwykliśmy nazywać raczej to co obecnie Pan Redaktor czyni, a mianowicie — walkę o ideały, walkę z marazmem i ciemnotą społeczeństwa własnego, szczytną wiarę w moc ideału. Niechże się Pan na mnie nie gniewa, Panie Redaktorze, za ten epitet, — widzę w piśmie Pana sporą paczkę takich Donkiszotów i kocham ich całem sercem, — ludzie tego typu podobają mi się ogromnie, — wieczni optymiści, idealiści, zapaleńcy, — lepiej myślą o ludziach, niż jest w istocie...

Książki pana Landsberga nie można nazwać „Donkiszoterją" — jest to książka lisia, przewrotna, cyniczna. Autor jej wykazuje „naukowo", jakiem to złem są ubezpieczenia, Kasy Chorych, płatne urlopy... Autor ma czelność pod płaszczykiem „naukowości" przemycać w przekonania czytelnika wiarę, iż istotnie wszystkiemu ubezpieczenia winne, że gdyby ich nie było — nie byłoby bezrobocia, ani kryzysu gospodarczego, ani nędzy miljonów. Wiem, wiem, kapitaliści więcej mają takich „naukowców", — ludzie ci nie są jednak ani donkiszoci, ani chorzy umysłowo, — to są sztuki mądre, straszliwie mądre...

Legjon takich „naukowców"-socjologów, prawników, nawet lekarzy, nawet księży posiada kapitalizm. Mało jednak równie cynicznych wywodów słyszałem i czytałem w życiu, jak sławetna książka inż. Landsberga. Argumentów tej książki nie powinno się zbijać tak, jak to czyni p. Szpecht, ani nie mówić delikatnie o autorze — że jest Don Kiszotem kapitalizmu. Należy czarną listę sporządzić, bić w każdym numerze nazwiska tych wszystkich, którzy żerują na nędzy mas pracujących.

Poddaję Panu, Panie Redaktorze, myśl takiej czarnej listy, — poddaję, ale nie namawiam. Przeczuwam, iż w odpowiedzi powie mi Pan, że nie chce siać w kraju nienawiści, że nie chce pogłębiać jeszcze przepaści, dzielącej dwa obozy klasowe. Może ma Pan rację, Panie Redaktorze, nie wiem...

Wiem jedno, iż trzeba w stosunku do kapitalizmu i jego obrońców zająć inną postawę, — bardziej brutalną, bardziej męską, niż postawa p. Szpechta i nie od donkiszotów wymyślać reakcji, ale po imieniu.

Łączę wyrazy i t. d.

Wierny czytelnik

Lwów. *Władysław Jamiółkowski*

Odpowiedź Redakcji. Jedno tylko sprostowanie: „Naukowcy" pracujący w obronie kapitalizmu, nie są to tak znów straszliwie „mądre sztuki". Popadają w abstrakcje, nie mające nic wspólnego z życiem realnem, łudzą się, możnaby powiedzieć, że „bujają w obłokach", gdyby ich robota nie była tak mało poetyczna.

A co do „czarnej listy": — zabrakłoby miejsca w numerze, we wszystkich numerach...

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Jerzemu Z. w Dąbrowie Górniczej. Pisaliśmy już o tem. Nie myli się Pan. Ś. p. Tadeusz Hołówko, po przybyciu do Warszawy w roku 1914-ym, rozpoczął tu swą pracę publicystyczną w tygodniku „Widnokrąg", redagowanym wówczas przez obecnego redaktora „Epoki".

Panu Edwardowi M. w Białymstoku. Artykuł pański byłby dobry, gdyby nie był tak rozwlekły. Trzeba się streszczać. To, co pan powiedział na kilkunastu stronicach, dałoby się doskonale zawrzeć w stu wierszach. Pisząc, należy wciąż kontrolować, czy się czasem nie napisało słów niepotrzebnych. Słowo zbędne psuje, osłabia każdy wywód.

Pani I. S. K. R. w Warszawie. Wszystko słuszne, bardzo słuszne, ale już tyle razy powiedziane! Powtarzanie pewnych rzeczy może być pożyteczne, jeżeli się sąd nienowy ilustruje nowemi, pouczającemi przykładami. Wówczas umacniamy przekonania czytelnika, który jest zasadniczo po naszej stronie.

Panu J. N. Kłosowskiemu w Krasnystawie. Zamieścimy.

Panu K. M. L. w Łodzi. Cierpliwości! Otrzymujemy niewiarogodną ilość rękopisów.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Aldous Huxley: Nowy wspaniały świat. Przekład Stanisławy Kuszelewskiej. — Tow. Wyd. „Rój", Warszawa, 1933.

Bertrand Russell: Podbój szczęścia. Przekład Antoniego Pańskiego. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

John Galsworthy: Święty. Przekład Stelli Landauowej. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Józef Wittlin: Etapy. Italja — Francja — Jugosławja. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Irena Krzywicka: Sekret kobiety. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

TREŚĆ NUMERU

Wydarzenia i dokumenty: Symboliczny prezent. Kosztowni dobroczyńcy. Ciemna noc. Karykatura związku zawodowego. Dziurawa statystyka. Głupota nie zna granic. — *Józef Wasowski:* Jedyna droga. — Uczucia i myśli miljonów. — *Tadeusz Garczyński:* Zagadnienie ukraińskie. — *Wacław Rogowicz:* „Miłe" rysy wojny. — Duchy przeszłości przeciw bezrobotnym. — Żebrak ofiarodawcą. — *Widz:* Dwie cenzury: — *Jerzy Kornacki:* Podróżować z Żeromskim... *Henryk Lukrec:* Denuncjacja. — *Alfred Wilecki:* Rok 1932 w gospodarstwie światowem.— *St. Gr.:* Przegląd polityczny: — Listy do „Epoki". — Odpowiedzi redakcji.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-1 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.